

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 21 listopada 1914 roku.

№ 47.

Gustaw Daniłowski.

## Ida płacze...

Byłem rad, że poznałem się z panem Roberto Carioli, jedynym poza mną turystą, bawiącym dłużej w tem miasteczku, który w dodatku umiał po francusku, mogłem więc z nim, w braku włoskich słów, porozumiewać się w tym lepiej mi znanym języku.

Był to przytem człowiek wykształcony, widział wiele świata, i, jak przypuszczałem, podobnie do mnie, zaszył się w tem zacisznym rybackim osiedlu, by usunąć się na czas pewien od toku zwykłego życia i mózdz przebywać z sobą długie godziny sam na sam, godziny, w których się głębiej myśli i wyraźniej odczuwa pracę owych tajemniczych przadek, snujących coś w podziemiach ducha. Schodziliśmy się zwykle wieczorem pod markizami malej tratoryi na kieliszek „marsali“, przeglądaliśmy dzienniki i gadaliśmy nieraz do późna.

Carioli rozpytywał mnie o kraj mój, ze zdumieniem dowiadywał się o istnieniu wielkiego narodu, o jego tragicznych kolejach, o roli, jaką grał w walkach o niepodległość, wogóle o Polsce i polakach.

Ale, gdy tylko nadarzyła się noc cicha, urywał gawędę i szliśmy ku morzu, stałe w jedno i to samo miejsce, nad małą zatokę, która, jak świadczyły słupy, stanowiła dawną przystań rybacką, zanim wykopano kanał, gdzie obecnie spoczywają barki i łodzie. Carioli siadał na piasku tuż nad wodą, ja nieco opodał i poddawaaliśmy się magicznym urokom morza.

Morze w nocy kołysze się trochę spokojniej, niż w dzień — jakby usnąć chciało, raz wreszcie odpocząć. Otulona w mgły roztoz jej ginie z oczu i tylko z ciemnej, tajemniczej, nieprzejrzanej otchłani wybiegają fale i jakby zgonione, ostatnim tchem rzucają się na brzeg. Czasem, zamiast fali, podnosi się

spieniony wał olbrzymi, zwija się, rośnie wpoprzek i naraz zapada się z pluskiem jakgdyby ogromnego, rzuconego w wodę płaskiego ciężaru. Bałwani się nieustannie i szumi wiecznie ruchoma ciemność, wysyłając raz po raz swe fale, jakby westchnienia ku ziemi.

Lecz zdarzają się pewne chwile jakoby znużenia nie mającego spoczynku żywiołu, morze jakby na mgnienie omdlewa i ostatnia jego fala rozściela się sennie na piasku, i po tem jakby ucałowaniu ziemi z cichym łzawym poszeptem, podobnym do dyskretnego płaczu, stłumionego szlochania, spływa napowrót w burzącą się nanowo toń.

I wtedy zwykle Carioli, który stawał nad morzem niezwykle milczący, pochylał się nad wodą i wymawiał półgłosem: *lacrima, lacrima*, płacząc często, dodawał „ona“, a czasem nierozumiały dla mnie wyraz: „Ida“.

To jego niepowszednie zachowanie się zastanawiało mnie; znaliśmy się jednak zamało, bym go śmiało otwarcie pytać.

Kiedyś jednak, gdy trochę głośniejszej, niż zwykle, wymówił: „Ona płacze“, nie wytrzymałem.

— Dlaczego — spytałem — mówi pan „ona“, skoro jest nie „la“, a „il mare“ i co właściwie znaczy „Ida“?

Carioli drgnął, jakby zbudzony, milczał chwilę, a potem, zwracając się do mnie nawpół uśmiechniętą twarzą, rzekł:

— Ida, jest to często spotykane u nas dziewczęce imię i w tem morzu właśnie ona mi dalej płacze.

— Całego przebiegu zdarzenia, prócz mnie, nikt nie zna dokładnie; panu jednak mogę sprawę całą wyjaśnić; jesteś pan przygodnym znajomym, z którym prawdopodobnie nie spotkam się nigdy, jutro bowiem wyjeżdżam; zresztą, to jest dawno

minione, umarłe, realne nic, zaledwie widmo pamięci...

Wstał, zapalił cygaro, na drodze obrośniętej krzewami zwrócił mi uwagę na niezliczoną mnogość świętojańskich robaczek, które, niby skry elektryczne, migały na wsze strony.

— Takie maleńkie, a palą się miłością; coś dziwnego, że człowiek do utraty rozumu może nią zaplonać.

— Moja historia jest historią takiej właśnie zapalnej miłości. Ogień zgasł dawno, ale chwilami fosforyzują jego szczątki...

Przed dziesięciu laty — tak! miałam prawie dziesięć — zostałem przez lekarzy zapędzony do tego miasteczka. Nie byłem właściwie chory, tylko zmęczony życiem hulaszczem. Przed dwunastu bowiem laty, po śmierci ojca, pozostałem samowolnym panem siebie i dużego majątku, z którego dziś pozostała połowa wystarcza mi na dostatnie utrzymanie, a nawet zbytki.

Byłem młody, zdrowy, no, i dość przystojny; stałem się więc wkrótce ulubieńcem salonów, przedmiotem wzdychań panien, względów mężatek, a miałem ogromne tak zwane „szczęście“ do kobiet. Nazywano mnie Don Juanem. Prócz dam z towarzystwa, znały mnie też kulisy i kabarety.

Silna muskulatura moja, wyrobiona sportami, wytrzymała dość długo ten nie rozróżniający dnia od nocy tryb życia. Ale wreszcie zmogło mnie, zaczęły kaprysić nerwy. Bezsenna, brak apetytu, oznaki pewnego przesytu i znużenia zaprowadziły mnie do starego doktora, przyjaciela mego ojca.

Stary, opukawszy mnie na wszystkie strony, przepisał, jako jedyną receptę, wyjazd do tego miasteczka, bym wytchnął i ustatkował się w braku pokus.

Tu bowiem, jak trzeba panu wiedzieć, na całym wybrzeżu panują dość jeszcze surowe rybackie obyczaje; nie znajdzie tu pan ani jednej lekkiej dziewczyny. Rada miejska uchwaliła pod tym względem bar-

dzo ostre przepisy. To też ludzie tu się wcześniej żenią, a jeszcze wcześniej zaręczają. zaręczyny bowiem zato pozwalają nie czekać na załatwienie formalności,—chodzi jedynie o to, by przed chrzcinami odbył się ślub.

Osiadłszy tu, poczęłem prowadzić mniej-więcej ten sam tryb życia, jak obecnie: kładłem się wcześniej, wstawałem późno, czytałem książki, przeglądałem dzienniki, a na poobiednią kawę i wieczorny kieliszek wina uczęszczałem do tej samej trattoryi.

Nic się w niej nie zmieniło, prócz właściciela, picola i tak zwanej „signoriny“ za bufetem, która jest czemś w rodzaju kelnerki, kasyerki, a wówczas właśnie była nią Ida.

Zrazu nie zwróciłem na nią uwagi, kiedyś jednak, gdy mi podawała kawę, spostrzegłem, że jest niezwykle zgrabna, ma regularne, subtelne rysy, a piwne jej, o długich rzęsach oczy, zasnutę, jakby pajęczyną, złotawym połyskiem. Potem uderzyła mnie zwinność i gibkość jej ruchów, z jaką się uwijała pomiędzy stolikami. Zauważyłem, że przy jednym z nich, przy którym zwykle siadywał podrzędny urzędnik z poczty, mizerny, kulejący, o pałających oczach młodzieniec, Ida zatrzymuje się dłużej i z pewnem nadąsaniem i wstrząśnieniem ramion odpowiada na jego żywe, półgłosem wypowiedane słowa.

Bywając parę razy na dzień w tej trattoryi, nie mając zwłaszcza nic do roboty, przesiadywałem zwykle długo i wkrótce wszedłem z Idą w ten napół żartobliwy, napół zalotny stosunek, w jaki się wchodzi z tego rodzaju dziewczętami, bez żadnych zamiarów na przyszłość.

Przytrzymywałem więc nieraz sięgająca po należność ogorzała raczkę, oglądałem tani pierścionek na małym paluszku, zaglądałem w oczy z komplementem, przy którym spuszczała rzęsy i, nieco zawstydzona, odsłaniała w uśmiechu białe, równe, jak sznurek, ząbki.

Po pewnym czasie dowiedziałem się, że jest córką rybaka, Pietro, matka nie żyje, rodzeństwa nie posiada; wydobyłem też od niej, nie bez trudu, wiadomość, że ów z poczty, Albino, pragnie z nią się zaręczyć i ojciec też tego sobie życzy, i nie wie, co robić, bo się jej nie podoba.

— Dlaczego? — przekonywałem i, mając dar udawania, w komiczny sposób naśladowałem jego ruchy, gesty i włożenie nogami. I oto w ten sposób stopniowo mój stolik, że się tak wyrażę, stał się przystanią dla Idy, za co Albino topił we mnie zawzięte spojrzenia pałających oczu.

A pewnej nocy, idąc do domu, zauważyłem, że się ciał za węglem. Czyżby mnie chciał pchnąć nożem? — mignęło mi w głowie. — Zwalilibym go jednym uderzeniem pięści — pomyślałem i mimowolnie namacałem w kieszeni mały, lecz ostro bijący rewolwer. I od, a potem skut-

kiem tego spotkania trochę na złość zacząłem nadskakiwać Idzie, odkrywając przytem coraz nowe uroki tej niezwykle wdzięcznej dziewczyny. Wkrótce zauważyłem na ogorziałych policzkach śliczny, podskórny rumieniec, a gdy kiedyś odwinał u łokcia kończący się rękawek, załśniła biało-różowa delikatna pleć. Odnaczałem się zawsze wielką „gentiliezą“ w stosunku do kobiet i ta, oczywiście, wobec nieraz rubasznego sposobu bycia otoczenia, zaleta moją występowała w całej okazałości i widziałem, że Ida to odczuwa i jest moją delikatnością ujęta.

— Ida jest piękniej wyrzeźbiona, niż ta statua Fortuny — wskazywałem posążek, ozdabiający wodotrysk.

— O, signore! — uśmiechała się z niedowierzaniem. Czasem trochę swawolniejszy zwrot ubierałem w rymy, a liche te wierszyki wprowadzały ją w zachwyt.

Kiedyś, gdy mi podawała mniej okuczrzoną kawę, powiedziałem:

— Jeżeli gospodarz żałuje mi cukru, to niech Ida umacza swoje usteczka, a będzie słodsza, niż miód.

Twarz jej ściemniała od silnego rumienia. Porwała filiżankę i pierzchnęła za bufet. Przez cały następny dzień unikała mnie i wówczas dopiero uświadomiłem sobie, że jestem nieco tą dziewczyną zajęty, przynajmniej o tyle, że gdy jej nie mam przy stoliku, odczuwam, iż czegoś mi brak.

Nazajutrz miałem załatwić pewien interes w Anconie, to też wieczorem, gdy Ida podeszła do mnie, rzekłem:

— Ida się na mnie gniewa, nie-dobra jest, więc nie pozostaje mi nic innego, jak jutro wyjechać, skoro mnie tu tak nieżyczliwie przyjmują.

Dziewczyna naraz jakby zastygła; usta jej drgnęły.

— Panie... — zaczęła, utknęła, w oczach stanęły łzy, wybiegła, znikła na moment w ciemnej uliczce, w kilka minut wróciła i zaszyła się w jakimś kacie za bufetem, tak, że nie mogłem jej wytlómaczyć, iż jadę tylko na parę dni.

To wrażenie, jak go doznała na wieść o rozstaniu, sprawiło mi pewną radość, ale zarazem zaniepokoiło mnie trochę, nie miałem jednak zwyczaju dłużej zastanawiać się nad tego rodzaju serdecznymi sprawami, miałem bowiem tych przygód za wiele. Postanowiłem natomiast przywieźć, niejako na przeprosiny, drobną prezencję: wybrałem mały, oksydowany, z cienkim złotym łańcuszkiem zegarek i przy napisie „ricordo“ — pamiątka — kazałem wyryć swoje litery, a pośrodku koperty monogramik I. B., nazywała się bowiem Bertini.

Gdy, po dwóch dniach nieobecności, ukazałem się „Pod Markizą“, Ida, zapominając o wszystkim, — Signor! — zawołała, rzuciła się ku mnie z rozłożonymi rękoma, zatrzy-

mała się, spuściła ręce i, silnie zmieszana, wybąkała:

— Che comandate?

— Cafe nero! — odparłem, trochę oszołomiony jej wybuchem.

A, gdy mi podała, rzekłem półgłosem:

— Niech Ida, jak wyjdę, wybiegnie na chwilę pod arkady Lanci, mam jej coś powiedzieć.

I miałem właściwie jedynie zamiar oddać jej zegarek, z prośbą, by go przyjęła.

Nie kazała mi długo na siebie czekać. W parę minut po wyjściu ujrzałem pomiędzy kolumnami jej smukłą postać.

— Ido, — ująłem ją ciepło za rękę — byłem w Anconie i na przeprosiny przywiozłem ci tę małą pamiątkę.

Włożyłem jej na szyję łańcuszek i nagle wzruszenie podszeptało mi zdanie:

— Noś go z lewej strony. Gdy twoje serduszko posłyszysz jego ciche „tik, tak“, niech ci się zdaje, że to moje przy twojem tak bije!

Objąłem ją w pół i pocałowałem w usta. Nie bronila się; przeciwnie, przytuliła się piersią do mej piersi, rozchyleni ustami do warg i poczęła szeptać: „Mio caro! o mio!“ Oplotła mnie ramionami i puściła raptem, dały się bowiem słyszeć kroki.

Zawróciła za kolumnę, ja w przeciwną stronę, bo poznałem po kulaniu, że zbliża się Albino.

Nazajutrz po tem mimowolnem wyznaniu powitała mnie w trattoryi tak cudownem wejrzeniem, że coś się poruszyło w mej duszy; doznałem jakiegoś nowego subtelного uczucia, jakoby odświeżenia całej istoty, odzyskującej dziewictwo serca.

Bez porozumiewania się, bez żadnych układów poszukiwaliśmy ciągle sam na sam, co nie było łatwem w małym miasteczku, zwłaszcza wobec zajęcia Idy, pomysłowość jej jednak pod tym względem umiała usuwać najgorsze trudności. Na oznaczone punkty za miastem, na odległe od ruchu wybrzeża morza przedostawała się wiadomymi sobie tylko ścieżkami, by mnie uściskać, powiedzieć, że kocha, i gdzie mam oczekiwać nowego spotkania.

Głównym naszym wrogiem był Albino, który wyraźnie nas śledził. Na widok jego z łagodnych oczu dziewczyny wyzierał błysk nienawiści, a czasem nawet na usta wybijały brutalne słowa przekleństwa.

Bezpieczeństwo od tych jego przespiegów gwarantowało nam jednak dwa dni w tygodniu, podczas których wypadał mu dyżur przy telegrafii.

Na te dni Ida, pod pozorem, że ma dużo szycia i prania, wyszukała na całe popołudnie zastępczynię i rozpoczęły się cudowne wtorki i czwartki, w które mogliśmy po kilka godzin spędzić we dwoje, siadać nad morzem i mówić sobie te pieszczotliwe słowa, których jest tak du-

żo w naszym języku, całować się, kłaść tuż obok nawznak na piasku, dotykać ramieniem ramienia, śledzić niebieskie obłoki, budzenie się gwiazd i mówić, jak cudny jest świat...

...Dopiero gdyśmy wracali do miasta, rozplakała się nagle, a gdy ją poczęła uspokajać, zaczęła mówić szlochając, że trudno jej uwierzyć, bym mógł kochać taką prostą, zwyczajną dziewczynę, że nie zasłużyła na to szczęście, a gdy ją zapewniałam o swych uczuciach, potrząsnęła głową, i patrząc na mnie rozkochanymi oczyma, rzekła, odmierzając koniuszkiem paluszka: — Wystarczy, jeżeli pan ma dla mnie serca choć tyle.

— Dziwił się pan nieraz, dlaczego zamiast w hotelu, mieszkam w tej ciemnej uliczce naprzeciw walącej się rudery.

DN.



### *In hoc signo...*

*Pełni się jakieś wielkie dzieło.  
Anielskie-ż ono, czy szatańskie?  
Pół ziemi ogniem się zajęło,  
Grzmiały na niebiosach trąby Pańskie;  
Wiesć między ludźmi dziwna chodzi,  
Starzy się smucą, cięszą młodzi.*

*Nocami, każde pole żyje  
I gwar podnosi — a gwar rośnie,  
Jakby żorawie długoszyje  
W chmurach czyniły wrzask, o wio-  
śnie.*

*Lecz nie o wiosnie mówią pola,  
To los przeklina swój — niedola.*

*Jednak w tem bólów palenisku  
Olbrzymia przyszłość się wytrawia:  
Kres tyrańskiego dusz ucisku,  
Koniec niewoli i bezprawia.  
Niech się uciszą zmarłych kości:  
Ginie obecność dla przyszłości.*

*W tej strasznej kuźni dzwonią młoty,  
Co rozbić mają miecz i zbroję,  
Wrócić ludzkości jej wiek złoty,  
Zduścić nienawiść, stłumić boje.  
W ogniu, co krwawym żarem bucha,  
Kształci się nowa forma ducha.*

*Dreńczącą jutra tajemnicę  
Ten duch sfinksowy w sobie chowa.  
Może ją wygrzni przez haubice,  
Przez konających wytkła słowa...  
Lecz wówczas tylko piekło złamie,  
Gdy będzie krzyża nosił znamię.*

Wiktor Gomulicki.

Hall Caine.

# Dana od Boga.

Przekład z angie-  
skiego H. J. P.

41

## Rozdział XC.

Gdy się obudziła nazajutrz, słowa komornika zadźwięczały mi w uszach.

Wiedziała, że miał rację, że powinnam niezwłocznie odebrać dziecko od Oliver'ów, ale co z niem zrobić?

Zabrać je do siebie było czymś niepodobieństwem, a, szukając innej opiekunki, w rodzaju pani Oliver, narażałam się na to, że mogłam trafić jeszcze gorzej.

Tu przypomniła mi się owa kelnerka z restauracji, która umieściła swoje dziecko w przytulku na wsi i tak z tego była zadowolona, ale gdy pomyślałam, że mogłabym widywać Izabellę tylko raz na miesiąc, wszystko wzburzyło się we mnie przeciwko takiej ostateczności.

— Pierwej urobię sobie palce do kości — mówiłam w duchu.

Zwolna jednak zaczęłam widzieć rzeczy w innym świetle. Że dziecku będzie lepiej w takim dobrotliwym przytulku, niż u płatnych wyzyskiwaczek, to nie ulegało wątpliwości, a więc... a więc... nie byłam samolubną miłością moją, jeżeli wniknęłam o zadowoleniu własnego serca, niż o zdrowiu i wygodach mego maleństwa. Zresztą, to nie potrwa długo. Potrafię przecież robić coś innego, niż wykańczać kamizelki. Gdy się uwolnię od wyzysku Oliver'ów, wyszukam sobie jakieś odpowiedniejsze i zyskowniejsze zajęcie i z czasem będę mogła wziąć dziecko do siebie i wynająć jakiś mały domek na wsi (coś w rodzaju domku rodziców Jurka, opiekę tegoż rodzajem, zaglądającem przez okno do „nokoiku Mary O'Neill“ — i wszystko będzie dobrze.

Spędziłam kilka bezsennych nocy, perswaduując sobie w ten sposób, a i popłakiwałam trochę na myśl, że po latach rozłąki mogę się stać dziecku obcą. Wreszcie zaufałam „głowski krwi“, który jej powie, że jest moją, i wówczas pozostało mi tylko wybrać zakład, mający przyjąć mój jedyny skarb i najwyższe ukochanie.

Dopomógł mi w tem, jak w wielu innych razach, przypadek. Pewnego dnia, gdy iechałam na West End tramwajem, usiadła przy mnie kobieta, która ciągle ocierała oczy (choć promyk szczęścia tryśkał po przez jej łzy), i widocznie nie mogąc powstrzymać nadmiaru uczuć, przebiegających jej serce, zaczęła mi się zwierzać.

Była wdowa i właśnie umieściła swą trzyletnią córeczkę w przytulku; a choć ciężko jej było rozstawać się z nią, a najdroższe biedactwo tak żałośnie za nią poglądało, gdy odchodziła, to jednak rada jest z tego, bo tak będzie lepiej dla nich obu.

Spytałam o nazwę przytulku. Powiedziała mi ją, dodając, że założycielem tego schronienia był jakiś zany doktor, który stał się prawdziwym ojcem dla tysięcy biednych sierot, nie mających już ojca, jak oto jej córeczka.

To mnie zdecydowało i nazajutrz rano, włożywszy kapelusz i okrycie, udałam się podług adresu.

Nie wiem sama, czy śmiać się czy płakać na wspomnienie nastroju, w jakim weszłam do przytulku. Pomimo wszystkiego, czego mnie już nauczyło życie, byłam głęboko przekonana, że wświadczam ogromną łaskę instytucji, powierzając jej moją córeczkę.

Och! Jak dobrze pamiętam każdy szczegół tej mojej tam bytności!

Na wstępie dowiedziałam się z żalem, że zany doktor już nie żyje, poczem, gdy mnie wprowadzono do gabinetu jego następcy (wszystko tu miało taki urzędowy wygląd!), zobaczyłam wiekowego jegomościa o długiej szyi i lodowatym uśmiechu, który, zasuwając okulary na czoło, rzekł takim samym lodowatym głosem:

— Czego pani sobie życzy?

Ochłonawszy z pierwszego przykrego wrażenia, opowiedziałam mu moją historię: iż mam dziecko, które płatna opiekunka zaniedbuje, iż sama mam zajęcie, nie pozwalające mi osobiście doglądać mego maleństwa, które kocham nad życie, lecz że spodziewam się wkrótce znaleźć sobie coś lepszego, więc teraz pragnęłabym na czas jakiś oddać moją córeczkę, lecz pod warunkiem, że w każdej chwili będę ją mogła zabrać z powrotem, jako...

O, mój Boże! mój Boże!

Nie wiem, czy coś było w mojej mowie, czy w powierzchowności, co mnie zdradziło, bo wiekowy pan, nie pozwalając mi dokończyć, rzekł ostry:

— Czy może pani dostarczyć kopię metryki dziecka na dowód, że jest prawnie urodzone?

Zaczerwieniłam się gwałtownie, lecz nie mogłam przecież skłamać; wybelkotałam więc drżącym głosem prawdę.

Skutek był natychmiastowy. Stary jegomość przycisnął guzik elektrycznego dzwonka, zsunął okulary na nos i rzekł jeszcze bardziej zamrożonym głosem:

— O ile możności, nie przyjmujemy nielegalnych dzieci.

Minęło kilka dni, nim otrząsnęłam się z upokarzających wrażeń tej pierwszej próby. Ale nie mogłam dać za wygrane. W pewnej chwili przypomniało mi się, co stara aktorka, z którą mieszkalam w pensjonacie, opowiadała o jakimś przytulku w Bloomsbury, którego założyciel

w szlachetnem pragnieniu oszczędzenia biednym matkom wstydu z powodu tych niewinnych, co przyszły na świat, nie zapytawszy prawa o pozwolenie, ustanowił, aby co wieczór wieszano koszyk przed bramą, gdzie która chciała, mogła włożyć swoje maleństwo, a potem zadzwonić i skryć się.

Tak, to była zacna, błogosławiona filantropia; a jednak! o, Boże!... jakimże jest ten świat i jego prawa, gdzie matka musi sobie poczytywać za szczęście, że jej wolno podrzucić dziecko swoje, iak złodziej, obawiający się rewizyi, i uciec i już więcej krwi swojej krwi i ciała swego ciała nie widzieć.

Tak rozmyślając, wybrałam się, po bezsennej spędzonej nocy, do Bloomsbury.

Był to śliczny, niedzielny poranek. Robotnicy w East Endzie siedzieli przed domami, paląc fajki i czytając gazety. Gdy doszłam do Westu, dzwoniło już we wszystkich kościołach, a przez obszerny dziedziniec przytułku postaci czarno ubrane, w czarnych, błyszczących rękawiczkach miarowym krokiem szły ku kaplicy.

Z pewną odrazą weszłam do protestanckiej świątyni, lecz gdy usiadłam i spojrzałam na chór, gdzie dzieci siedziały rzędami: chłopcy w jasnych czerwonych bluzkach, a dziewczynki w białych fartuszkach i rurkowanych czepeczkach, gdy zaczęło się nabożeństwo i młodzieńcze, świeże głosiki rozbrzmiały hymnem, sławiącym dobroć Ojca wszystkich ludzi, nie myślałam już o niczem, tylko o radości, z jaką ujrzę kiedyś Izabelkę, siedzącą i śpiewającą na tym chórze.

Po skończonem nabożeństwie zapytałam o sekretarza; wprowadzono mnie więc do jego gabinetu.

Może to był i dobry człowiek; ale, och! czemuż tylu dobrych ludzi miewa takie surowe oblicza, że sam ich widok przenika biedną kobietę nawskroś, iak ostrze sztyletu?

Przeprosiwszy, że zgłaszam się w dzień świąteczny, opowiedziałam znów swoją historję, dodając (ze spuszczeniem oczyma), iż mam nadzieję, że nieprawe urodzenie mego dziecka nie stanie na przeszkodzie w przyjęciu go do przytułku.

— Bynajmniej,—odrzekł sekretarz.—Zakład ten przeznaczony jest właśnie dla takich dzieci.

Ale gdy w dalszym ciągu wspomniała, iż upewniano mnie, że wolą fundatora było, aby tajemnica pochodzenia dziecka mogła być zachowana, odpowiedział przecząco. Następnie objaśnił mnie, że przed przyjęciem dziecka matka musi teraz stawić się przed komitetem panów opiekunów, by im złożyć dowody swego poprzedniego moralnego prowadzenia, iak również, że ojciec dziecka opuścił ją.

Niedość na tem; dziecko po przyjęciu otrzymywało nową metrykę i nowe imię, a to w celu zerwania

wszelkiego łącznika pomiędzy niem a jego występnyimi rodzicami.

Nie potrafię opisać, co się we mnie działo, gdy słuchała, iak sekretarz tłómaczył mi to wszystko z niewzruszoną twarzą człowieka, nie zdającego sobie zgoła sprawy z potworności tego, co mówi.

— Przed komitetem opiekunów? — zapytałam.

— Tak.

— I oni zadają matce te wszystkie pytania?

— Tak.

— A potem dają dziecku inne imię i nazwisko?

— Tak.

— A czy mówią mu, jakie będzie to nowe imię i nazwisko?

— Nie; dostaje tylko kwit z numerem, odpowiadającym nazwisku dziecka w naszych księgach.

Wstałam, drżąc od stóp do głów, i niepomna na to, kim jestem i poci tu przyszłam — biedna, bezsilna nędzarka, szukająca schronienia dla swego dziecka — wpadłam na sekretarza z całą wściekłością swego znieważonego macierzyństwa.

— I wy to nazywacie chrześcijańską instytucją? — wołałam.— Bieriecie nieszczęśliwą kobietę w godzinie jej niedoli i dręczycie ją badaniem naitainiejszych wydarzeń jej życia, publicznie, przed zgromadzeniem mężczyzn? A potem zabieracie jej dziecko i, iakbyście je grzebali, dajecie jej kwit do jego grobu? To ma być przytułek? To cmentarz! A jednak macie czelność pisać nad waszą bramą słowa naszego miłościwego Pana: „Dozwólcie maluczkim...“

Ale pocóż powtarzać wszystko, co powiedziałam (może niesprawiedliwie) w bezsilnym gniewie moim.

Upłynął znów tydzień. Ciągłe nagabywania Oliverów doprowadziły mnie do takiej rozpacz, że, zobaczywszy w wagonie podziemnej kolei ogłoszenie o przytułku dla dzieci na wsi (przedstawiające gromadkę roześmianych malców, igrających pod kwitnacym kasztanem), postanowiłam spróbować raz jeszcze.

— Przecież nie wszędzie są bezduszne maszyny zamiast ludzi—myślałam.— Przecież może natrafie na serca współczujące tak wielkiej niedoli...

Był to piątek, dzień największego nawału roboty u żydów. Abramowiczowa przyniosła mi ogromny stos kamizelek; lecz, nie zważając na to, wybrałam się do owego przytułku.

Znaidował się on o piętnaście mil na północ od Londynu, więc dostanie się tam połączone było z pewnym wydatkiem. Pocieszył mnie jednak przytulny wygląd tego schronienia, a jeszcze bardziej uradowała mnie wiadomość, że zarząd znajduje się w rekach kobiet, sądziłam bowiem, że nareszcie zrozumiana będę.

Ale zaledwie opowiedziałam moją historję przełożonej, powtarzając

bardzo nieśmiało i z bijącym sercem tym razem prośbę, abym mogła zabrać dziecko, skoro tylko okoliczności mi na to pozwolą, gdy przerwała mi, mówiąc:

— Moja droga pani, na tych warunkach mogłybyśmy mieć połowę nielegalnych dzieci w Londynie. Nie; tak nie idzie. Zanim przyimiemy dziecko, musimy mieć prawne zobowiązanie matki, że zrzeka się wszelkich praw do dziecka, aż do szesnastego roku jego życia.

— Do szesnastego roku? Czy to trochę nie za srogo dla matki — rzekłam.

W iaki sposób dostałam się z powrotem do domu, kolejia, tramwajem, czy pieszo, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że już było bardzo późno, około jedenastej wieczorem, gdy z Park Lane weszłam na Piccadilly, gdzie biedne „publiczne kobiety“ — wystroione, wymalowane — krażyły przed oknami klubów, posyłając do środka wyzywające spojrzenia i uśmiechy.

## Rozdział XCI.

Późno już w noc dotarłam do mej izdebki i rzuciłam się, jak martwa, na łóżko.

Nazajutrz, pomimo krótkiego snu, zbudziłam się, jak zwykle, wcześnie.

Była to sobota, i choć cały East End kipiał ruchem i gwarem, w domu żyda panowało milczenie, jako w dzień szabasowy.

Otworzywszy okno, usłyszałam, iak Izrael Abramowicz, ubierając się do bóżnicy śpiewał znów mi już hymn: „*Lerho dande likras kollo*“. „Pójdź, o, przwiacielu, chodźmy na spotkanie Oblubienicy; radośnie Święto Sabatu witamy“.

I znów spadł na mnie grom.

Ogarnawszy wzrokiem pokój, ujrzałam, że stos kamizelek, który zostawiłam na łóżku, zniknął, i kiedy uspokajałam się myślą, że tylko Abramowiczowa mogła to uczynić, iako jedynie drugi klucz do mego pokoju miała, usłyszałam kroki jej męża na schodach.

W chwili potem stanął we drzwiach. Miał na sobie odświętny strój, podnoszący dziwnie jego patryarchalny wygląd. Błady był i patrzył na mnie surowo.

Zrazu myślałam, że przyszedł strofować mnie za zaniedbywanie się w pracy i chciałam już obiecać, że zdwoiona gorliwością wynagrodzę ten uszczerbek, gdy nagle zrozumiałam, że coś zaszło, coś się wydało, że przyszedł oskarżyć mnie i potępić.

— Podałaś nam nazwisko. Czy możesz zareczyć, że jest to prawdziwe twoje nazwisko?

Milczałam, a on ciągnął dalej:

— Czy możesz zaprzeczyć, że masz dziecko, którego istnienie zataiłaś przed nami?

Oddychałam coraz szybciej, lecz wciąż w milczeniu.

— Czy możesz powiedzieć, że dziecko to jest prawnie w małżeństwie wedle waszego chrześcijańskiego obrządku zrodzone?

Zaczerwieniłam się gwałtownie. Głos uwiązł mi w gardle. Za cenę życia nie byłabym zdołała wymówić jednego słowa. Żyd ciągle patrzył na mnie; wreszcie rzekł:

— Więc to prawda?... Bardzo dobrze: od tej chwili tracisz u mnie zajęcie.

Stałam z oczyma utkwionemi w podłogę; usłyszałam jednak, że ktoś wszedł do pokoju. Była to Miriam, chcącą wstawić się za mną.

— Ojciec... — zaczęła, lecz żyd przerwał jej namietnie:

— Idź stąd. Prawa córka Izraela nie powinna przemawiać za taką kobietą.

Słyszałam, jak Miriam oddalała się z wolna, a wówczas żyd, przystępując do mnie i podnosząc głos, rzekł:

— Kobieto! opuść mój dom natychmiast, zanim skalasz i znieprawisz sumienie mego dziecka!

I znów ktoś wszedł do pokoju. Była to Abramowiczowa, która także chciała wstawić się za mną.

— Izraelu! Uspokój się! Nie u-noś się gniewem i niesprawiedliwością! I to w dzień sabatu.

— Hanno! — rzekł żyd. — Mówia twe usta, ale nie serce twoje. Chrześcianka nie zaprzecza, że podała nam fałszywe nazwisko i że jest cudzołożną matką nieprawego dziecka. Gdyby była żydówką, stawiono by ją przed sadem Betli Dinu, a za lepszych czasów nasze moższowe prawa kazałyby ją ukamienować. Czyż dlatego, że jest chrześciance, ma beczceścić uczciwy żydowski dom? Nie! Ręka Pana zaciężyłaby nademną.

— Ależ ona nie ma się gdzie schronić, a była dobrą robotnicą, Izraelu. Dai jej czas, by sobie jakiś dach znalazła.

Nastąpiła chwila milczenia; potem żyd rzekł:

— Bardzo dobrze. Nie będzie powiedziano, że Izrael Abramowicz nie umie miarkować sprawiedliwości miłosierdziem.

I dodał:

— Możesz zostać tu jeszcze tydzień. A potem umywasz ręce od ciebie.

Po tych twardych słowach odwrócił się i wszedł. Żona jego została jeszcze chwilę, mówiąc coś łagodnie, czego nie zrozumiałam; potem oddaliła się również.

Po niejakiem czasie usłyszałam, że drzwi jego mieszkania zamykają się na klucz i wiedziałam, że Abramowicz idzie do bóżnicy na Beck Lane w wysokiej jedwabnej czapce, a żona i córka podążają za nim, niosąc jego oprawny w skórę modlitewnik.

Zmacona myśl moja napróżno usiłowała ogarnąć położenie. Wszy-

stko uleciało z mojej duszy i pamięci. Pozostała tylko bezbrzeżna, beznadziejna rozpacz, jakgdyby koła życia toczyły się nademną, miażdżąc mnie do reszty.

## Rozdział XCII.

Musiałam siedzieć jaką godzinę lub więcej na krawędzi łóżka, oszłamiona, zdruzgotana, niezdolna zebrać myśli, gdy Miriam, wróciwszy z synagogi, przyszła ukradkiem powiedzieć mi, że wczoraj około szóstej wieczorem ktoś się o mnie pytał.

— Mówił, że się nazywa Oliver. Ojciec z nim rozmawiał i stąd się o wszystkim dowiedział. Ten Oliver mówił, że dziecko twoje zachorowało i żebyś natychmiast przyszła.

W jaki sposób dostałam się do Ilford — nie pamiętam. Może szłam, może biegłam, a najprędzej niosła mnie na skrzydłach trwoga, taka trwoga, o jakiej dotąd nie miałam pojęcia. Kolana drżały podemną, w gardle mi zasychało, włosy literalnie podnosiły się na głowie, a cała moja dusza była jednym krzykiem błagalnym do Boga o życie mego dziecka.

Gdy dopadłam do domu Oliverów, odetchnęłam. Dziecko żyło. Pani Oliver siedziała przed kominkiem, trzymając je na kolanach.

Zobaczysz mnie, zaczęła coś bąkać, że tak późno przychodzę i że ona nie może być odpowiedzialna, jeżeli się coś stanie, lecz ja, nie troszcząc się o żadną odpowiedzialność, ani jej, ani moją, odebrałam jej tylko dziecko w milczeniu.

Małństwo moje najukochańsze pogrążone było w jakimś chorobliwym półśnie, z którego nie można go było rozbudzić. Według słów pani Oliver, stan ten trwał już całą dobę. Dziecko w trakcie tego nie jadło wcale, schudło więc i zmizerniało do reszty.

Nie znałam się zgoła na dziecięcych dolegliwościach, lecz instynkt macierzyński podszeptał mi, żeby małą wykapać; jakoż po kąpieli obudziła się i przyjęła nieco pożywienia.

Ale po chwili znowu zapadła w senność i przestraszona pani Oliver wezwała parę sasiadek, by ją obejrzały.

Kobiecinę te były widocznie tego zdania, że to panią Oliver, a nie mnie, należy pocieszać; zawyrokowały jednak zrodnie, że „sen nikomu jeszcze nie zaszkodził“. To mnie trochę uspokoiło.

Mijały godziny. Siedziałam nieruchomo z dziecina moją na kolanach, wpatrzona w jej bledziuchną, wynędzniałą twarzyczkę, nie zważając na nic innego, w pewnej chwili jednak usłyszałam jakąś wrzaskliwą muzykę i zgiełk na ulicy, jakgdyby tłum jakiś posuwał się bezładnie.

— To strajk — rzekła pani Oliver, biegnąc do okna. — A Ted niesie sztandar.

Zgromadzenie zatrzymało się na owej, podobnej do wielkiego śmietni-

ka, wyłysiały łące naprzeciwko domu i zmieszane głosy obradujących dochodziły do mnie niby rechotanie żab, nad którymi raz po raz wzbijał się tubalny głos malarza, wrzeszczący: „Zacieśnijcie pasa i raczej z głodu pozdychajcie, niżbyście mieli ustąpić!“

Ale nawet krzyki nie zdołały rozbudzić małej; więc około trzeciej, zapytawszy o najbliższego doktora, pobiegłam po niego. Nie było go w domu, zostawiłam więc nagłać wezwanie na piśmie, streściwszy symptomy stanu mojej małej.

Wracając, spotkałam kilka dziecięcych pogrzebów, i widok tych małych trumienek, upstrzonych taniemi wiankami, doprowadził mnie niemal do utraty zmysłów.

Zaledwie wróciłam i, zdjawszy okrycie, grzałam się przed ogniem, by nie zaziębić dziecka, gdy doktor zajechał przed dom.

Doktor, był to młody człowiek, który w jednej chwili zorientował się w sytuacji. Ja jestem matką? Tak. A ta kobieta opiekuje się dzieckiem? Tak.

Następnie usiadł i wpatrzył się uważnie w dziecinę, podczas gdy ja czekałam z zapartym oddechem, co mi powie.

— Jakieś ostre zapalenie żołądkowe — rzekł wreszcie. Ale zaledwie położył rękę na brzuszku małej, gdy pokazały się wymioty.

— Coście jej dawali? — zapytał doktor ostro, spoglądając na panią Oliver.

Pani Oliver zaczęła się zaklinać, że nie dawała dziecku nic prócz mleka, lecz on przerwał jeszcze ostrzej.

— Nie pleć, kobieto. Pokaż mi, coś jej dawała.

Pani Oliver przestraszyła się i przyniosła z góry flaszeczkę, mówiąc, że to jest miksturka, którą ja sama kuliłam dziecku na kaszel.

— Właśnie — rzekł doktor, poczem otworzywszy drzwi, wyrzucił flaszeczkę i dodał:

— Jeżeli się dowiem, że poisz dzieci w dalszym ciągu takimi miksturkami, to dam znać inspektorowi.

Poczem, nie troszcząc się więcej o panią Oliver, jał zadawać mi różne poufne pytania: czy będąc w ciąży, miałam jakie wielkie zmartwienie; czy karmiłam sama dziecko i jak długo.

Odpowiadałam możliwie najściślej, choć domyślałam się, do czego dążą te pytania, drżąc z obawy usłyszenia, co mi dalej rzeknie.

Nic nie rzekł jednak narazie, tylko zaczął przepisywać dietkę; a ja, pomna, że straciłam zajęcie, słuchałam ze ściśniętym sercem, jak wyliczał, czego dziecku potrzeba: niezbierane mleko, rozcieńczone odrobiną dystylowanej wody; nieco soku mięsnego i kilka razy dziennie około trzydziestu kropel najlepszego koniaku.

Wstał i wsunął niedbale do kieszonki od kamizelki należność, którą mu podałam. Było to tylko pół korony; i z pewnością nie domyślał się, ile znaczyło to dla mnie, bo wychodząc, dodał, żeby przysłać po niego zrana, jeżeli by stan obecny był bez zmiany.

Czuając, że nie wiem jeszcze całej prawdy (choć lękałam się ją usłyszeć), podałam dziecko pani Oliver i wyszłam za doktorem.

— Panie doktorze — rzekłam — czy moje dziecko bardzo chore?

Zawahał się chwilę, poczem odpowiedział:

— Tak.

— Niebezpiecznie chore?

Zawahał się znowu i bacznie na mnie patrząc, rzekł:

— Tego nie powiem. Cierpi na zatrucie organizmu usypiającemi środkami, które ciemni i niesumieni ludzie dają dziecku, aby było cicho. Ale ważniejszą jest tu dziedziczna wątpliwość organizmu, z której tylko dobre odżywianie a nadewszystko świeże powietrze i słońce wyleczyć ją może.

— Czy wyzdrowieje?

— Jeżeli może ją pani wysłać na wieś, to z pewnością.

— A jeżeli... jeżeli nie będę mogła — zapytałam drżącą, przerywanym głosem — to... to... czy umrze?

Doktor raz jeszcze spojrzał na mnie bystro i odrzekł:

— To możliwe.

I oto stałam znowu oko w oko z jedną z wielkich tajemnic kobiecego życia — ze śmiercią dziecka, na którą narażała je własna moja miłość.

Tymczasem pani Oliver blada, jak płótno, tłómaczyła mi się obłędnym głosem. Za żadne skarby światła nie byłaby wyrzuciła krzywdy kochanemu małżeństwu, gdyby nie chodziło o Teda, który był tak zmęczony noszeniem sztandaru i potrzebował snu...

Poczęści, aby się jej pozbyć, posłałam ją z ostatkiem pieniędzy, jakie miałam, po zakupy tych rzeczy, które doktor zalecił. Poczem, siedząc znów z dzieckiem na kolanach, wpatrywałam się w jego zamknięte powieki, błagając Boga o jedno spojrzenie błękitnych oczu mego Jurka, gdy mularz wrócił do domu.

— Gdzie Liza? — zapytał.

A gdym mu powiedziała, krzyknął:

— Znowu ten dzieciak! Ciągłe ten dzieciak!

Poczem wyjął z kieszeni kłak mokrego tytoniu, wpakował go do fajki i zapalił, napełniając powietrze kłębami ostrego dymu. Dziecko przez sen zaczęło kaszlać.

Wskazałam na nie, mówiąc, aby nie palił.

— Co takiego? — rzekł drwiąco, a gdym mu powiedziała, że doktor zalecił świeże powietrze, przerwał tym samym tonem.

— Doprawdy? Proszę. A to do-

brze; bo to mi właśnie przypomina, że miałem z panią pomówić. Wczoraj musiałem chodzić po panią aż na Mille End, a teraz znowu Liza lata za sprawunkami. Tak nie idzie. Kto chce, żeby mu chore dziecko pielęgnować, ten musi za to płacić. Jesteśmy biedni i...

— Przestań pan palić — przerwałam mu, dusząc się z gniewu.

— Wtepędy!

I puścił jeszcze większy kłak dymu.

— Przestań pan palić w tej chwili, bo znajdę kogoś, co ci to nakaze.

Mularz roześmiał się i wskazując fajkę na fotografię, wiszącą nad kominkiem, rzekł:

— Widzi to pani? To ja i moje pięści. Jeżeli tam jaki pani przyjaciel, co go dziecko obchodzi, chce przyjść spróbować się ze mną, to mu pokażę, gdzie raki zimują.

Krew buchnęła mi do twarzy. Włożyłam dziecko do kołyski i zwracając się ku mularzowi, krzyknęłam:

— Ty łotrze! Doktor powiedział mi, z czego moje dziecko chore i żona twoja przyznała się, że mu dawała na sen z twego polecenia. Jeżeli w tej chwili nie wyjdiesz stąd, pójdę na policję i oskarżę cię, żeś mi otruił dziecko.

Niegodziwiec stehórzył w jednej chwili.

— Niech się paniusia nie złości — ja jestem najspokojniejszy człowiek w East Endzie, a com tam mówił o tym przyjacielu, to mi się tak tylko wypsnęło.

— Wynoś się! Precz! Precz! — krzyczałam, następując na niego, a on — rzecz prawie nie do uwierzenia — poszedł, jak zmyty. Nie będę się rozwodzić nad tem, co przeżyłam w ciągu następnych kilku dni. Powiem tylko, że dziecko przestało drzemać ciągle, lecz natomiast płakało i niepokoiło się bezustannie; że nie mogąc utrzymać w sobie pożywienia, chudło wprost w oczach; że pomimo najgorętszych chęci nie śmiałam posłać po doktora, nie mając go czem zapłacić, że godzinami siedziałam z mojem ukochanem biedactwem na kolanach, błagając Boga, by mi je zachował, to jedyne dobro mego życia.

Przez cały ten czas mieszkaliśmy wciąż w domu żyda, wracając późno w nocy i wychodząc prawie o świcie. Pewnego dnia Miriam, patrząc na mnie swemi wielkimi, czarnemi oczyma, rzekła:

— Powinnaś trochę odpocząć, moja droga, inaczej rozchorujesz się.

— Ach, nie, nie jestem chora — odrzekłam, a pomyślawszy, jak życie moje potrzebnem było dziecku, dodałam:

— Nie mogę być chorą.

Wreszcie w sobotę rano usłyszałam, jak Abramowiczowa prosiła męża, by pozwolił mi jeszcze tydzień pozostać, bo przecie wiedzą, że mam ciężkie zmartwienie i nie mogę te-

raz szukać sobie mieszkania, więc chociaż jeszcze tydzień... trzy dni. Ale stary fanatyk był nieubłagany. Bóg wyraźnie chciał, abym poniosła karę za mój występki.

I dodał, że, ponieważ jest to dzień Sabatu, więc daje mi czas do dziesiątej wieczorem, to znaczy, jeśli się po tym terminie nie usunę, każe wyrzucić moje rzeczy na ulicę.

Pamiętam, że groźba żyda nie uczyniła na mnie żadnego wrażenia. Obojętnem mi było teraz, czy będę miała jaki dach nad głową, czy nie.

Przyszedłszy do Oliver'ów, zastałam dziecko gorzej. Nie przyjmowało już nawet koniaku i upadek sił był zastraszający. Czas jakiś siedziałam w milczeniu z oczyma utkwionemi w to bezwładne, biedne ciało, zadając sobie pytanie, które miliony matek musiało sobie przedemną zadawać: Czemu moje dziecko tak cierpi? Czemu? Czemu?

Na to była tylko jedna odpowiedź: Dziecko cierpiało dlatego, że ja byłam w nędzy. Gdybym nie była w nędzy, wywozłabym ją na wieś, na świeże powietrze, na słońce, gdzie, jak doktor zapewnił, odzyskałaby zdrowie.

A dlaczego byłam w nędzy? Byłam w nędzy, bo nie chciałam być powolną władzy ojca, gdy nią kierowała pycha i niesprawiedliwość, ani męża, gdy był brutalnym i okrutnym, i dlatego, że usłuchałam tego, co było we mnie najwyższem: wezwania miłości.

A teraz Bóg patrzył na cierpienia mego dziecka, które zabijała moja nędza!

I ciemność ogarniała mi duszę i zaczęłam myśleć, że skoro Bóg nie czyni, skoro pozwala, by mi okrutny los jedyny mój skarb wydzierał, ja zaczęłam walczyć o życie mego dziecka, jak zwierzę walczy o swoje małe.

Byłam w rozpacz; ale nie była to już rozpacz, paraliżująca całe jestestwo, lecz ta, która popycha do cha do czynu, do działania.

— Dziecko moje nie umrze — myślałam — a przynajmniej nie zabije go nędza.

Niejednokrotnie w ciągu tego dnia pani Oliver zbliżała się do mnie ze słowami zdawkowej pociechy: Dzieci są zawsze ciężarem, ciągle z niemi kłopoty i zgryzoty, a czasem to i lepiej nawet dla tych niebożatek, jeżeli je Ojciec Najwyższy do swojej chwały powoła.

Słuchałam tego, nie słysząc, ale nad wieczorem obito mi się o uszy coś mnie samej dotyczącego, że i dla mnie może „to“ być lepiej (wiedziałam, co owe „to“ znaczyło), bo wtedy byłabym wolna i mogłabym pójść po raz drugi za męża.

— Przecie. Paniusia taka młoda i przystojna. Jeszcze wczoraj sąsiadka z pod piątego mówiła mi, że paniusia jest najładniejszą w całym Ilford i że żona Wikarego nawet się do paniusi nie umywała. „Ubrać ją

tylko ładnie, powiada, i niechby trochę rumieńców nabrała, a ładniejszej i w West End'zie nie znajdzie".

I oto przyszła na mnie chwila najcięższej próby. Czułam śmierć krążącą nad moim dzieckiem i mówiłam sobie, że tylko jakieś *wielkie poświęcenie* zażegnać ją zdoła.

Dotychczas uważałam, iż wszystko, co posiadam, należy do dziecka, a teraz pojęłam, że i ja sama do niego należę. Sprowadziłam je na ten świat i obowiązkiem moim było dbać, żeby nie cierpiało.

Ale wrodzony religijny instynkt walczył wciąż ze mną i zaczęłam odmawiać Zdrowaśki, by te potworne myśli odpędzić.

*„Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Toba...”*

Byłam blizką obłędu. Wreszcie ten okropny popęd samooferacji, który mną owładnął, zwyciężył.

— Muszę dostać pieniędzy — myślałam. — Jeżeli nie dostanę pieniędzy... skądkolwiek... jakimkolwiek sposobem — moje dziecko umrze. Muszę — koniecznie — dostać pieniędzy!

Około siódmej wstałam, oddałam dziecko pani Oliver i drżącymi rękoma włożyłam kapelusz i okrycie.

— Gdzie idziesz, nieboże? — zapytała pani Oliver.

— Wychodzę. — Wrócę rano — odpowiedziałam.

Poczem uklęknęłam, ucałowałam moją dziecinę, moją Izabelkę, mój skarb ukochany — i wybiegłam na ulicę, zatrzaskując drzwi za sobą.

### Rozdział XCIII.

Z tej powrotnej drogi do domu żyda pozostało mi mętne wspomnienie jazdy tramwajem z początku, a potem (zapewne, już nie miałam na drugi kurs), wiem, że szłam szybko przez Bow Street i że wymijałam ciągle kobiety z koszykami na rękę, załatwiające wieczorne sobotnie sprawunki.

W pewnej chwili natknęłam się na pijaną kobietę, wychodzącą z szynku z ręką zarzuconą na szyję równie pijanego majtka.

— O! jak się mamy, święta panielko! — zawołała.

Była to ulicznica, która niosła moje dziecko, a gdy ją mijala z pośpiechem, rzekła:

— Myślisz, że jestem pijana? A no, jestem! A ty nie upijasz się nigdy? Nie? Toś głupia!

Noc była chłodna i ciemna. Doszedłszy do drzwi domu żyda, zastałam je po raz pierwszy zamknięte i musiałam długo czekać, nim wreszcie otworzył mi je sam Abramowicz, przyczem coś mówił swym surowym, chrapliwym głosem, na co nie zwróciłam uwagi i szybko poszłam na górę.

Znalazłszy się w moim pokoiku, zapaliłam gaz i zamknęłam drzwi na klucz, jakgdybym zabierała się do spełnienia zbrodni, co wreszcie i było.

Nie pozwalałam sobie myśleć o tem, co zamierzałam uczynić, tylko w pewnej chwili, gdy sumienie zaczęło mnie zbyt silnie strofować, coś krzyknęło we mnie:

— Któż mi to może wziąć za złe, skoro życie mego dziecka jest w niebezpieczeństwie?

Otworzyłam walizkę i wyjęłam wszystkie moje suknie, które przywiozłam z Ellanu. Było ich mało i już mniej lub więcej niemodne; ale jedna z nich była jeszcze świeża i ładna: jasno-błękitna z koronkowym przybraniem stanika.

Włożywszy ją, przejrzałam się w wiszącym na ścianie lusterku i uczułam, że mi w niej do twarzy, jednocześnie jednak zauważyłam, że ta twarz była śmiertelnie bladą i to mi przypomniało pozostałe w kieszonkach walizki flaszeczki i pudełeczka.

Były to pozostałości kosmetyków, które kupowałam w Kairze, w owych dniach głupoty mojej, kiedy usiłowałam rozkochać w sobie mego męża. Nie tknęłam ich od owej pory, ale teraz wydobylam je i zaczęłam się malować, karminując moję bezbarwną, popękana usta i zapudrowując ciemne sińce pod oczami.

Potem włożyłam kapelusz i, wyjąwszy z walizki długie jasne rękawiczki, których nie miałam ani razu od wyjazdu z Ellanu, zaczęłam je naciągać.

Stałam przed lustrem, próbując (o, Boże!) uśmiechu, gdy nagle targnęła mną nowa myśl.

Oto miałam popełnić samobójstwo; najgorszy rodzaj samobójstwa, po którym następuje pośmiertne życie na ziemi.

Po dzisiejszej nocy Mary O'Neill przestanie istnieć! Zabiję ją, pochowam i nigdy już nawet pomyśleć o niej nie będę mogła.

Ostry ból ścisnął mi serce, budząc wspomnienia dzieciństwa, przywodząc na pamięć szczęśny szal krótkich chwil mojej wielkiej miłości, a także Rzym i moje życie w klasztorze.

A teraz trzeba było pożegnać to wszystko i Mary O'Neill — nawsze! Było to coś tak okropnego, iż myślałam, że mi serce pęknie.

— Dla miłości mego dziecka! Dla miłości mego dziecka! — szepnęłam, zakrywając twarz rękoma.

Poczem otworzyłam drzwi, zeszłam śmiało ze schodów i znalazłam się na ulicy.

### Przypisek Jerzego Conrada.

Nie nazwę tego trafem, że to był właśnie dzień mego powrotu do Anglii.

Gdybym tak sądził, musiałbym przestać wierzyć w połowę najpiękniejszych faktów w historii ludzkości i w to wszystko, czego nas uczą o niezbadanych Opatrznościowych zrządzeniach.

Burze w zatoce Biskajskiej opo-

źniły nasz powrót o parę dni i nie-pewność, co się dzieje z moją ukochaną, znów zaczynała brać nade-mną górę do tego stopnia, że ostatniej nocy żeglugi, nie mogąc już po prostu wytrzymać, poszedłem do kajuty O'Sullivan'a i zwierzyłem mu się ze wszystkiego.

Pocziwy chłopiec! Jak on mi współczuł, jak pocieszał, jak krzepił własną pewnością, że wszystko będzie dobrze!

— Przekonasz się, że zastaniesz ją w Southampton. Już ja ci mówię!

Rankiem minęliśmy wyspy Kanału, a wkrótce potem spotkaliśmy pilota, który przywiózł ze sobą całą gromadę reporterów. Opadli mnie natychmiast, zarzucając pytaniami, na które odpowiadałem, o ile można odpowiadać, gdy coś zupełnie innego pochłania nasze myśli, aż wreszcie wymknąłem się tej złaźnionej nowin rzeszy, wydając im na pastwę moich towarzyszy.

Około siódmej wieczorem przybiliśmy do olbrzymiego kamiennego mola Southampton'u. Ciemno już było, nie mogąc więc rozróżnić nikogo w wymachującym rękoma tłumie, który nas oczekiwał w przystani, uprosiłem O'Sullivan'a, by wymknął się na brzeg, jak tylko będzie można, na poszukiwanie mojej najdroższej.

— A poznasz ją? — zapytałem.

— Jeszcze by też! Zresztą, na wszystkich Świętych Pańskich, drugiej takiej na świecie niema.

Przyjęcie, jakie nas przy wylądowaniu spotkało, było tego rodzaju, że człowiek próżny mógłby się niem pysznić, a skromny zawstydić, i, co do mnie, myślę, że potrosze doznałbym obu tych uczuć, gdyby moja ukochana była przy mnie.

W obecnym jednak stanie rzeczy zdejmowałem tylko czapkę, gdy wykrzykiwano moje nazwisko, i czułem się najsamotniejszym człowiekiem na świecie.

O'Sullivan nie wrócił jeszcze, gdy Treacle nadbiegł z oznajmieniem, że już wszystko gotowe i możemy wysiadać na ląd.

Nie powiem, żebym nie był szczęśliwy z powrotu do kraju; nie przeczę, że to gorące przyjęcie ujęło mnie, a jednak, Bóg mi świadkiem, że była taka chwila, kiedy, napróżno oglądając się za tą jedyną, upragnioną twarzą, byłbym zawrócił i podążył znów pod biegun bez wahania.

Na lądzie otoczył mnie rozentuzjuszowany tłum i omal nie udusił w nściskach. Wreszcie O'Sullivan wrócił z przeciągniętą twarzą, ale wnet rozpogodził się, zapewniając, że niechybnie ujrzymy ją w Londynie.

Wsiedliśmy do specjalnego pociągu, zamówionego przez naszego prezesa. Salonowy przedział, który zarezerwowano dla mnie, był już nabitý członkami komitetu, nie mówiąc o ich żonach, córkach i reporterach.

# „MODES AUX ELEGANTES” PL. SASKI 5.

Tel. 35-31.



Bryczek, Wo-  
lantów, Kur-  
sówek, Koszy-  
ków dwukół-  
łek wielki wy-  
bór gotowych,  
oraz fabryka przyjmuje powozy do  
odnowienia. Wyrabia: Koła, turgo-  
ny, platformy i t. p. Warszawa,  
Szpitalna № 10 — Jamiołkowski.

## Termometry — Manometry

Przyrządy fizyczne — Roboty mecha-  
niczne wykonywa

**Stanisław Straus** Jerozolimka 33.

Fabryka egzystuje od 1886 roku.  
Przeniesiona z Nowego-Swiatu  
Filji nie posiada — Uwaga na adres.

Gorąco polecamy Szanownym naszym  
Czytelnikom

biedną 7-letnią sierotę, kalekę,  
której do chodzenia niezbędny jest  
aparat. Ofiary prosimy nadsyłać do  
Administracji dla „Józi”.



Dozwolony przez Kaucę Medyczną. Dla odróżnienia od wielu leków o zbli-  
żonej nazwie, zwracamy uwagę, że nasz środek leczniczy znajduje się  
w sprzedaży tylko w opłatkach opatrzonych naszą firmą.

**Warsz. Tow. Akc. „MOTOR” Marszałkowska 23.**

Hurtowy i detaliczny skład papieru

**„WŁADYSŁAW BEDNAWSKI”**

Właściciel A. SZTUM.

**Warszawa, Miodowa № 2. Telefon 72.**

poleca: Materyały piśmienne i rysunkowe. Księgi buchalteryjne, Reje-  
stra gospodarcze, Druki wszelkiego rodzaju. Albumy do fotografii,  
do kart pocztowych. Obstaunki z prowincji załatwia się odwrotną pocztą.

**S. HISZPANSKI** m SZEWC m  
Warszawa, Krak. - Przedm. № 7.  
Istnieje od 1838 roku. 9221

**Stanisław Szalay**

**WARSZAWA**  
Chmielna № 40,  
Telef. 20-28.

**SKŁAD  
FOTOGRA-  
FICZNY.**

Latarnie  
czarnoksięskie

**PRACOWNIA  
I WYNAJEM  
PRZEPROCY.**



## Przy Szkole **M. RYCHŁOWSKIEGO**

(8-KL. GIMNAZYUM I 7-KL. SZKOŁA REALNA).

Pensyonat dla uczniów pod osobistym kierunkiem dyrektora szkoły i przy  
udziale stałego pedagoga-wychowawcy. Klasy przygotowawcze dla dzieci  
nieumiejących czytać od lat 7. Książęca № 4. Tel. 82-46.

## Pracownia Współdzielcza ubiorów kobiecych i dziecięcych.

**KRUCZA № 19 m. 39.**

Przyjmuje wszelkie zamówienia na roboty nowe, otwiera specjalny dział  
Przerabianiu rzeczy zużytych, odświeżania ich, naprawiania bie-  
lizny osobistej i stołowej,

PO CENACH MOŻLIWIE NAJNIŻSZYCH.

Posiada na składzie gotowe mundurki i fartuszki dla pensjonarek.

## Ozdobna Okładka

DO PÓŁROCZNIKÓW „ŚWIATA” na 1914 r.

z kolorowego płótna, z wyciskami w 4-ch kolorach.

Cena-okładki do każdego półrocza rb. 1, z przesyłką po-  
cztową rb. 1.30, za zaliczeniem 1.40.

Do nabycia w administracji, **Zgoda № 1.**

## !! Dla Sanitarjuszy !! Krótki rys ratownictwa

napisał dr. Józef Zawadzki

Popularny podręcznik, niezbędny dla pielęgnujących cho-  
rych i rannych, z licznymi ilustracjami w tekście.

**Do nabycia w administracji „Świata” ul. Zgoda 1.**

Cena 60 kop.

**Dla sanitariuszy cena 20 kop.**

## „Nasz Dom”

**pismo tygodniowe dla kobiet**, pod kierunkiem **Lucyny Kotarbińskiej.**  
Bogaty dział literacki, społeczny. Roboty ręczne, mody, dział gospo-  
darski etc. etc.

Prenumerata kwartalna w Warszawie 1.25 z przesyłką pocztową 1.50.

## „Przyjaciół Młodzieży”

**pismo tygodniowe ilustrowane, dla młodzie-  
ży od lat 10.** Drukuje powieści, opowiadania,  
artykuły, wszystko obficie ilustrowane.

Pren. kwart. w Warszawie 1 r., z przes. poczt. 1.25.

## „Przyjaciół Dzieci”

**pismo tygodniowe ilustrowane dla małych  
dzieci.** Drukuje bajeczki, wierszyki, opowiadania,  
pisane przystępnie.

Pren. kwart. w Warszawie 50 k., z przes. poczt. 75 k.

Redakcja i Administracja powyższych tygodników mieści się w Warszawie, ul. Zgoda № 1.

Drukowano farbą z fabryki W. Karpińskiego i W. Lepperta, w Warszawie.